

*Jerzy Eisler*

## ŻYCIE CODZIENNE W WARSZAWIE W OKRESIE PLANU SZEŚCIOLETNIEGO

Franciszek Ryszka zwykł powtarzać, że najlepszy, najpełniejszych i najbardziej wiarygodny obraz Warszawy z połowy lat pięćdziesiątych zawarł Leopold Tyrmand w swojej głośniejszej powieści pt. *Zły*. Nikt chyba nie ukazał w sposób równie otwarty i plastyczny obrazu ówczesnego stołecznego „półświatka” i patologicznych zjawisk społecznych, o których wówczas nie mówiło się głośno. Zrazem – zdaniem wielu osób – Tyrmand w sposób bardzo wierny przedstawił życie codzienne w ówczesnej Warszawie. Nie ukrywam, że podejmując niniejszy temat zamierzałem początkowo „zmierzyć się” właśnie z tą wizją. Stosunkowo szybko zdałem sobie jednak sprawę z tego, że z kilku przynajmniej powodów jest to w praktyce niemożliwe, a w każdym razie nader trudne.

Po pierwsze, nigdy w istocie nie zajmowałem się profesjonalnie historią Polski sprzed 1956 r. i z tego tytułu musiałbym przeprowadzić niemal „od zera” gruntowne badania nad codziennością Polski w okresie stalinowskim, a – zważywszy na dość już bogatą literaturę przedmiotu i rozległą bazę źródłową – nie miałem na to ani dość czasu, ani – mówiąc szczerze – dość siły. Dodatkową trudność stwarzał fakt, że materiały do niniejszego artykułu gromadziłem w okresie, gdy dokumenty przechowywane dotychczas w Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz w zasobach Biura Ewidencji i Archiwum Urzędu Ochrony Państwa (nawet te wcześniej dostępne dla historyków) były stopniowo przekazywane do Instytutu Pamięi Narodowej i przejściowo nie można było z nich korzystać.

Tymczasem w wypadku studiów nad życiem codziennym trudno wręcz przecenić rolę przygotowanych przez różne komórki aparatu bezpieczeństwa raportów i sprawozdań o nastrojach i postawach społecznych. Przeznaczone dla wąskiego kręgu odbiorców tego typu dokumenty z natury rzeczy wiernie, choć w sposób jednostronny, oddawały rzeczywisty klimat społeczny panujący w kraju, a przy okazji zawierały często sporo obserwacji o charakterze obyczajowym

(np. niejednokrotnie przywoływano w nich krążące plotki i pogłoski<sup>1</sup> oraz treść dowcipów politycznych). Informacje zawarte w tego typu materiałach byłyby szczególnie użyteczne przy badaniu reakcji warszawiaków na przeprowadzoną niespodziewanie 28 października 1950 r. tzw. wymianę pieniędzy. Wtedy to – jak wiadomo – w wyniku mającego drenażowy charakter zabiegu ściągania z rynku „nadmiaru pieniędzy” bardzo wielu obywateli (nikt – rzecz jasna – nie wie dokładnie jak wielu) zostało „ograbionych” ze swoich oszczędności.

Po drugie, dość deprymująco (choć zarazem mobilizująco – co zresztą jest tylko pozornym paradoksem) działał na mnie fakt, że dla lat wojny i okupacji dysponujemy znakomitymi (i obszernymi) opracowaniami, dotyczącymi życia codziennego w Warszawie<sup>2</sup>. Trudno było nawet myśleć o zmierzeniu się z nimi w niewielkim z natury rzeczy szkicu. Te uczucia autorskiej frustracji już „na starcie” pogłębiał fakt, że również dla pierwszego powojennego okresu dziejów Warszawy dysponujemy obszernym studium autorstwa Jana Górskiego<sup>3</sup>. Książki te stanowiły dla mnie swoisty punkt odniesienia, pokazując zarazem jak tego typu opracowanie powinno wyglądać, bym sam mógł uznać, że w pełni wywiązałem się z podjętego zadania.

Należałoby zatem nie tylko napisać o różnorodnych problemach (aprowizacyjnych, mieszkaniowych, komunikacyjnych itp.) stojących przed władzami Warszawy oraz kolejnej fazie jej odbudowy ze zniszczeń wojennych, ale też spróbować opisać mieszkańców stolicy: kim byli i czym się zajmowali, gdzie pracowali i jak odpoczywali, co jedli i jak się ubierali, w jakich warunkach mieszkali, a w jakich pracowali? Osobną kwestią, którą należałoby tutaj także podjąć, byłaby próba rozdzielenia roli Warszawy jako stolicy państwa i tym samym siedziby władz centralnych ze wszystkimi tego faktu konsekwencjami, od opisu jej roli jako samoistnej aglomeracji.

Badania nad życiem codziennym posiadają już długą tradycję, sięgającą końca lat trzydziestych. Mają też one własną specyfikę, a co więcej – jak zwracała na to uwagę Maria Bogucka<sup>4</sup> – ich przedmiot czyli egzystencja grup lub/i jednostek ludzkich wymaga odpowiedniego podejścia. Należy przy tym pamiętać, że wszelkie określenia, takie jak „życie codzienne”, „codziennosc” czy „powsze-

<sup>1</sup> Na temat roli plotek i pogłosek w badaniach nad dziejami Polski w okresie stalinowskim szerzej zob. D. Jarosz, M. Pasztor, *W krzywym zwierciadle. Polityka władz komunistycznych w Polsce w świetle plotek i pogłosek z lat 1949–1956*, Warszawa 1995.

<sup>2</sup> Przede wszystkim należy tu przywołać klasyczne już opracowanie Tomasza Szaroty, *Okupowanej Warszawy dzień powszedni. Studium historyczne*, wy. I, Warszawa 1973, wyd. II Warszawa 1988; zob. też W. Bartoszewski, *1859 dni Warszawy*, Kraków 1974. Trzeba także przypomnieć pracę, której autorem jest Krzysztof Dunin-Wąsowicz, *Warszawa w latach 1939–1945*, Warszawa 1984.

<sup>3</sup> J. Górski, *Warszawa w latach 1945–1949. Odbudowa*, Warszawa 1988.

<sup>4</sup> M. Bogucka, *Życie codzienne – spory wokół profilu badań i definicji*, „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej” 1996, nr 3, s. 247.

dniość” są ze swej natury nieostre, a ich sens pozostaje przedmiotem sporów między historykami. Tomasz Szarota podkreślał nawet, że mamy tutaj do czynienia z czymś co przynajmniej w jakimś stopniu stanowi odrębny „rodzaj piśarstwa historycznego”. Sam zakres tematyczny tego typu badań nie jest do końca określony i nawet nie za każdym razem można stwierdzić precyzyjnie „co jest, a co nie jest życiem codziennym”. Do dzisiaj brak jest bowiem „jednej, zadowalającej i powszechnie zaakrobowanej definicji tego pojęcia”. Niemniej jednak można pokusić się o zestawienie tematów „podejmowanych przez wszystkich zajmujących się życiem codziennym. Do tematów tych – zdaniem Tomasza Szaroty – zaliczyć trzeba: pożywienie, mieszkanie, ubranie, sposób spędzania czasu wolnego (rozrywki)”<sup>5</sup>.

Do tego swoistego „kanonu” należałoby też zapewne dodać opisy najważniejszych wydarzeń politycznych, społecznych, kulturalnych, obyczajowych, sportowych itd., jakie miały miejsce w interesującym nas okresie na danym terenie. Warto przy tym pamiętać, że zawsze w wypadku tego typu badań niezwykle użytecznym źródłem są wszelkie dzienniki, pamiętniki i wspomnienia oraz prasa regionalna. Przy opisie życia codziennego w Warszawie w okresie Planu Sześćoletniego rola szczególna przypadła „Życiu Warszawy” oraz tygodnikowi „Stolica”, a także kolumnie stołecznej „Expressu Wieczornego”.

Niniejsze rozważania należy zacząć od przypomnienia podstawowych faktów. Otóż u progu omawianego okresu, w 1950 r., powierzchnia Warszawy wynosiła 14 148 ha i była o 1680 ha większa niż w 1938 r. Prawdziwa rewolucja w tym zakresie dokonała się w 1951 r., kiedy to za sprawą posunięć o charakterze administracyjnym (włączenia w granice stolicy licznych miejscowości podmiejskich, ale także wielu hektarów lasów, pól uprawnych, łąk i pastwisk oraz nieużytków) powierzchnia stolicy została zwiększona trzykrotnie i od tego momentu do końca omawianego okresu wynosiła 42 725 ha<sup>6</sup>.

Wypada natomiast przypomnieć, że w wyniku tego zabiegu administracyjnego w obręb Warszawy wpisano osady nader zacofane pod względem cywilizacyjnym, jak np. wieś Zbójna Góra, gdzie jeszcze w 1953 r. nie było elektryczności. Po przeprowadzeniu gruntownej kwerendy w „Expressie Wieczornym” młody historyk Błażej Brzostek tak opisywał „wielką Warszawę”: „Zasmucająco wyglądały takie miejscowości, jak Anin, Wawer czy Szczęśliwice, nieoświetlone i tonące w błocie, trapione wylewającymi szambami. Kilkunastotysięczny Wilanów – prócz zatłoczonej i powolnej kolejki dojazdowej – nie był połączony ze Śródmieściem żadną linią MPK i pozbawiony najpotrzebniejszych sklepów i instytucji. [...] Mieszkańcy niezelektryfikowanych Siekierok musieli się wypra-

<sup>5</sup> Na ten temat szerzej zob. T. Szarota, *Życie codzienne w Peerelu – propozycja badawcza*, „Polska 1944/45–1989. Studia i materiały” 1995, t. 1, s. 201–215.

<sup>6</sup> *Rocznik statystyczny Warszawy 1959*, Warszawa 1959, s. XX–XXI.

wiać po naftę do Śródmieścia. Droga łącząca osadę z innymi dzielnicami była błotnista i grzęzły na niej samochody (nie mogły dojechać karetki). Prośby mieszkańców do DRN o wysypanie drogi tłuczniem pozostawały bez odpowiedzi”. Trzeba przy tym pamiętać, że w owym czasie niewiele lepiej wyglądała sytuacja w samym centrum Warszawy. „Do wiosny 1950 roku – pisał cytowany powyżej historyk – na ścianie zrujnowanego dworca w Alejach Jerozolimskich widniał okupacyjny napis »Stadbanhof Warschau«. W okresach niskiej wody na Wiśle odsłaniały się porzewiałe wraki zatopionych w czasie wojny wagonów kolejowych i barek, utrudniające bieżącą żeglugę. W powietrzu unosiły się tumany pyłu, podnoszone przez wiatr z ruin, miejsc rozbiórek i budów”<sup>7</sup>. Zimą 1950 r. Maria Dąbrowska zanotowała w swoim *Dzienniku*, że Warszawa jest „nieczyszczona, brudna, okropna – nigdy, jak żyję, tak zaniedbanej nie widziałam”<sup>8</sup>.

Jak widać, do zrobienia było co nie miara. Można się więc zastanawiać, dlaczego władze zdecydowały się na sprzeczne z racjami ekonomicznymi rozszerzenie obszaru Warszawy, skoro np. nowo włączonym terenom – mimo braku taboru – Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne musiało zapewnić połączenie ze Śródmieściem. Wiele wskazuje na to, że ta gigantomania miała przede wszystkim na celu przyczynienie się do podniesienia za wszelką cenę prestiżu Warszawy. Po dalszym powiększeniu obszaru miasta w 1957 r. o teren Rembertowa, w latach sześćdziesiątych w środkach masowego przekazu wielokrotnie przypomniano, że Warszawa pod tym względem jest większa od Londynu czy Paryża. Rzecz jasna nigdy przy tej okazji nie dodawano, że w wypadku stolic Wielkiej Brytanii i Francji była mowa o ich powierzchni w granicach historycznych i nie wspomniano, że otaczał je wianuszek osobno administrowanych i gęsto zabudowanych miast i miasteczek tworzących z nimi kompleks miejski wielokrotnie większy od Warszawy.

Nie sposób przy tym nie zauważyć, że temu ogromnemu przyrostowi powierzchni miasta nie towarzyszył adekwatny wzrost liczby ludności, gdyż na terenach przyłączonych mieszkało nie więcej niż 167 tys. ludzi. W wyniku wspomnianego zabiegu administracyjnego (po uwzględnieniu także przyrostu naturalnego) liczba mieszkańców wzrosła z 672 tys. w 1950 r. do blisko 865 tys. w roku następnym<sup>9</sup>. Ciągłe było to jednak dużo mniej osób niż mieszkało tutaj przed wybuchem II wojny światowej (ponad 1,3 mln). Zresztą przedwojenny poziom liczby mieszkańców Warszawa przekroczyła dopiero w 1970 r. Warto tutaj jeszcze dodać, że w 1952 r. nader optymistycznie szacowano, iż w 1970 r.

<sup>7</sup> B. Brzostek, *Robotnicy stalinowskiej Warszawy. Konflikt społeczny 1950–1954*, Warszawa 2001, s. 15, 22. (maszynopis pracy magisterskiej przygotowanej w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego pod kierunkiem prof. Włodzimierza Borodzieja). Za udostępnienie tekstu bardzo dziękuję Błażejowi Brzostkowi.

<sup>8</sup> M. Dąbrowska, *Dzienniki powojenne 1945–1965*, t. 2, Warszawa 1996, s. 10.

<sup>9</sup> *Rocznik statystyczny Warszawy...*, s. XXI.

stolica będzie miała dwa miliony mieszkańców, co – jak wiadomo – nie nastąpiło do dziś.

Wydaje się, że decydujący wpływ na zmniejszenie tempa wzrostu liczby mieszkańców miało wydanie 27 marca 1954 r. rozporządzenia rządowego „w sprawie przepisów meldunkowych oraz pobytu na terenie m.st. Warszawy”, na mocy którego wprowadzono drastyczne ograniczenia w meldowaniu w stolicy ludności napływowej. Od 1 kwietnia stałe zameldowanie (poza osobami zamieszkałymi w stolicy przed tą datą oraz ich dziećmi) mogły uzyskać tylko osoby „niezbędne ze względu na interes publiczny”. W efekcie, o ile dotychczas każdego roku osiedlało się tutaj 25–35 tys. osób, o tyle w 1954 r. przybyło zaledwie 2,5 tys. Warto jeszcze zauważyć, że rozporządzenie pozwalało odmówić meldunku wszystkim osobom „niepożądanym ze względu na interes publiczny”, a nawet usunąć je z miasta<sup>10</sup>. Rzecz jasna, nie sprecyzowano nigdzie co miałyby to oznaczać. Była to po prostu – przynajmniej teoretycznie – jeszcze jedna szykana więcej.

Trzeba natomiast zwrócić uwagę na to, że ze względu na przyrost naturalny i systematyczny napływ ludności ze wsi i innych miast Warszawa w coraz mniejszym stopniu była zamieszkała przez osoby, które żyły tutaj przed II wojną światową. Niemniej jednak według spisu ludności z 3 grudnia 1950 r. takich osób miało być jeszcze ponad 500 tys. Liczbę tę podważała jednak Emilia Borecka, która wskazywała na to, że według tego samego źródła ponad 400 tys. „przedwojennych obywateli stolicy było rozproszonych po całym kraju. Stanowi to prawie milionową liczbę przedwojennych mieszkańców Warszawy, co wobec niewątpliwiej liczby strat ludności stolicy sięgającej 700 tys. jest liczbą zawyżoną. Dużo prawdopodobniejsza wydaje się liczba około 350 tys. dawnych mieszkańców, którzy wrócili tu do 1950 r., większość z pierwszą falą powrotów do zniszczonego miasta i około 150 do 200 tys. tych, którzy wrócili tu w latach 1951–1954 i później”<sup>11</sup>.

Jednocześnie ze względu na katastrofalną sytuację mieszkaniową w stolicy wiele osób, nie mogąc znaleźć tu lokum, dojeżdżało codziennie do pracy z okolicznych miejscowości. O ile w 1935 r. pracownicy dojeżdżający stanowili zaledwie około 6% ludności miasta, o tyle w 1948 r. już 11,4%, choć w liczbach bezwzględnych były to wielkości porównywalne. Znaczący wzrost w tym względzie nastąpił dopiero w następnych latach, kiedy to wspomnianemu już znacznemu przyrostowi liczby ludności towarzyszyło zwiększenie odsetka osób dojeżdżających, który w 1951 r. stanowił aż 18,5%. Codzienne dojazdy wielu pracowników były najpowszechniejszym zjawiskiem w budownictwie i w tych działach przemysłu, w których nie były potrzebne praktycznie żadne kwalifika-

<sup>10</sup> „Dziennik Ustaw PRL”, nr 22 z 12 maja 1954 r., poz. 79.

<sup>11</sup> E. Borecka, *25 lat Warszawy*, „Kronika Warszawy” 1970, nr 1, s. 36.

cje. Napływ niewykwalifikowanej siły roboczej z podwarszawskich miejscowości nazwano z czasem „wołominizacją stolicy”. Nie miała część z tych ludzi niejednokrotnie wiążała się „towarzysko” z miejscowymi lumpami i chuliganami.

W efekcie nasilała się brutalizacja życia codziennego i panoszyło się pospolite chamstwo. Przykładowo grupy łobuzów obrzucały śnieżnymi kulami starszych ludzi, celując z perfidią w ich głowy. Czymś „równie normalnym” było rzucanie kamieniami w kałuże w celu ochlapania przechodzących w ich pobliżu osób. Odnotowywano zresztą jeszcze bardziej niekulturalne zachowania: zdarzało się na przykład, że lokatorzy wyrzucali śmieci przez okno prosto na ulice. Prawdziwą plagą miasta były jednak grasujące grupy chuliganów. Na temat ich „działalności” Leopold Tyrmand w swoim *Dzienniku* napisał, że „szesnastoletni ludożercy wyrzucają z wagonów inwalidów prosto pod koła podmiejskich pociągów, masakrują konduktorów, ćwiartują nożami mężów stojących w obronie swych napastowanych żon na letniskowych stacjach. [...] Kulminacją rozbewstwienia było zdemolowanie kamieniami w Ząbkach pod Warszawą karetki pogotowia, która wiozła do szpitala śmiertelnie ранego człowieka, uprzednio wtrąconego pod koła pociągu przez ząbkowskich chuliganów”. Myliłby się jednak ktoś, kto by sądził, że takie zdziczenie obyczajów było wyłącznie domeną miejscowości podwarszawskich. Tyrmand zanotował, że nawet mieszkańcy dzielnic tradycyjnie uważanych za „dobre” i bezpieczne, takich jak Saska Kępa czy Mokotów „boją się wieczorami wychodzić z domu. Na peryferiach milionowej stolicy dużego państwa w pełni pokoju panuje powszechna obawa przed »rozbieraniem«”<sup>12</sup>.

Trzeba przy tym pamiętać o tym, w jakich warunkach żyli wcześniej ludzie, którzy przybywali do stolicy, szukając tu pracy. Otóż przyjeżdżali oni często z bardzo biednych wsi pozbawionych elektryczności, wodociągów, kanalizacji, jakichkolwiek połączeń drogowych lub kolejowych, z domów, w których wraz z ludźmi mieszkał inwentarz żywy. Dla tego typu osób pozbawione wszelkich wygód, nieprawdopodobnie brudne, zawszone i zapchlone, źle ogrzewane, pozbawione ciepłej wody, a niejednokrotnie w ogóle instalacji wodno-kanalizacyjnej hotele robotnicze były postrzegane w kategoriach awansu społecznego i cywilizacyjnego.

W 1951 r. w stolicy było 134 hoteli robotniczych, w tym 7 żeńskich. Łącznie mieszkało w nich ponad 10 tys. osób. Aż 65 z tych hoteli mieściło się w drewnianych barakach. „Pełne oświetlenie – jak odnotował Błażej Brzostek – miało 96 hoteli, umywalki – 72, kuchnie były w 71, świetlice w 63, skanalizowane ustępy w 45, »kąpieliska« w 35, zaś pralnie zaledwie w pięciu hotelach. [...] wymaganego »zagęszczenia (2 m. kw. na osobę) nie przekraczało tylko 25 hoteli”<sup>13</sup>. Jacek Kuroń, który w omawianym okresie był działaczem Zarządu Stołecznego Związku Młodzieży Polskiej, tak po latach opisywał Dom Młodej Robot-

<sup>12</sup> L. Tyrmand, *Dziennik 1954*, Warszawa 1989, s. 132–133.

<sup>13</sup> B. Brzostek, *op. cit.*, s. 141.

nicy przy ulicy Ogrodowej: „Zarzygane schody, powybijane szyby, połamane stoły, brudna, zalana tanim winem pościel. [...] Na pierwszym piętrze pijana dziewczyna, jaskrawo umalowana, w waciaku powiedziała do mnie: – u, malutki, lalunia, pójdziemy w gruzy. [...] Noc w noc trwały hałaśliwe orgie [...]. Dziewczyny chodziły w gruzy za parę złotych, za butelkę wina. Mówiono o nich »gruzinki«. Oczywiście zachodziły w ciążę, niektóre rodziły, oddawały dzieci do Domu Małego Dziecka. [...] Były liczne przypadki pozbywania się płodu; skrobanka to była wtedy zbrodnia, dziewczyny używały różnych metod, które pamiętały od znachorek wiejskich, chorowały, umierały. Zdarzało się, że rodziły i zabijały dzieci w gruzach”<sup>14</sup>. Trudno powstrzymać się od refleksji, że jest to obraz bardzo bliski temu, jaki w 1955 r., pisząc o Nowej Hucie, Adam Ważyk nakreślił w głośnym *Poemacie dla dorosłych*.

Ponurą wizję vegetacji tego typu ludzi „wyzwolonych od kultury” dopełniał niemal kompletny brak życia rodzinnego. Zamiast tego pojawiały się wspomniane libacje alkoholowe, rozpasanie seksualne i w konsekwencji całkowity upadek wartości moralnych. Ponadto pracownicy napływowi często spotykali się z lekceważącym stosunkiem wywyższających się „rodowitych” warszawiaków, którzy mówili o nich pogardliwie „wsiowi”, „zające”, „bociany” i – zdarzało się – że brutalnie im przypominali, że „Warszawa jest dla warszawiaków, a nie dla chamów”<sup>15</sup>.

Wielkie problemy mieli warszawiacy z komunikacją miejską, przy czym z roku na rok rosła liczba przejazdów, czemu niezależnie od innych czynników mogła sprzyjać relatywnie niska cena biletów. Jednorazowy bilet tramwajowy kosztował 45 groszy, trolejbusowy 60 groszy, a autobusowy 75 groszy. O ile więc w 1938 r. odnotowano zaledwie niespełna 268 tys. przejazdów, o tyle w 1950 r. było to już blisko 497 tys., a w 1955 r. ponad 779 tys. Co ciekawe, ta rosnąca z roku na rok liczba przewozów była realizowana przy znacznie mniejszym liczebnie taborze, choć – jak już wspomniano – Warszawa w omawianym okresie pod względem powierzchni była znacznie większa od przedwojennej. I tak o ile w 1938 r. jeździło po ulicach 710 tramwajów i 109 autobusów, o tyle w 1950 r. było 440 tramwajów i 205 autobusów oraz dodatkowo 45 trolejbusów. Dopiero w 1955 r. liczba tramwajów (744) przekroczyła stan przedwojenny, chociaż jakość wielu wozów pozostawiała sporo do życzenia i nie wszystkie nadawały się do użytku. W tym samym czasie w stolicy było ponadto 312 autobusów oraz 54 trolejbusy<sup>16</sup>.

Wszystkie te powyżej przywołane liczby w żadnym jednak razie nie oddają charakteru podróży komunikacją miejską w stalinowskiej Warszawie. Tramwaje

<sup>14</sup> J. Kuroń, *Wiara i wina. Do i od komunizmu*, Warszawa 1989, s. 41.

<sup>15</sup> Cyt. za: B. Brzostek, *op. cit.*, 59–60.

<sup>16</sup> *Rocznik statystyczny Warszawy...*, s. 124–125.

i autobusy kursowały bardzo nieregularnie – czasem trzeba było czekać na przepełniony ponad miarę pojazd nawet i godzinę. „Najgorzej jest około godz. 16.00. Ludzie po prostu wiszą na tramwajach, a nieszczęśliwe wypadki są na porządku dziennym. Rozkład jazdy jest wadliwy – nieraz pół godziny nie ma tramwaju, a potem przychodzi 5–6 wozów w odstępach kilkuminutowych. Naturalnie, zniecierpliwieni czekaniem ludzie rzucają się na pierwszy tramwaj, nie wierząc, że za kilka minut przyjdzie następny”<sup>17</sup>.

Władzę centralne miały zresztą świadomość tego, że problemów komunikacyjnych Warszawy nie uda się rozwiązać posunięciami doraźnymi, bez zbudowania w stolicy metra. W Planie Sześćioletnim uwzględniono więc projekt wybudowania pierwszej linii kolei podziemnej. Przemawiając 3 lipca 1949 r. na Konferencji Warszawskiej PZPR Bolesław Bierut powiedział, że będzie to „inwestycja podstawowa dla komunikacji Warszawy”. Pierwsza linia miała połączyć „dzielnice północne ze Śródmieściem od Bielan do dworca Głównego pod ciągłem ul. Marszałkowskiej”<sup>18</sup>. W popularnej komedii filmowej z 1953 r. „Sprawa do załatwienia” w reżyserii Jana Rybkowskiego i Jana Fethke jest nawet scena, w której bohaterowie znajdują się na rozkopanej ulicy Marszałkowskiej i w pewnej chwili pracujący tam robotnicy krzyczą do nich, że budują metro i że już niedługo będzie można nim pojechać. Przyszłość miała pokazać, że na taką przejażdżkę trzeba było poczekać jeszcze ponad czterdzieści lat...

W obliczu trudności komunikacyjnych zdecydowano się sięgnąć po „rezerwy” i w efekcie w lipcu 1950 r. na ulicach pojawiły się pierwsze tramwaje kierowane przez kobiety. Posunięcie to było spowodowane brakiem mężczyzn w wieku produkcyjnym, co z kolei było dziedzictwem wojny, ale także zwiastunem procesów emancypacyjnych. Nie dotyczyło to zresztą tylko komunikacji miejskiej. Kobiety pojawiły się też w innych (uważanych dotychczas za wyłącznie męskie) grupach zawodowych. I tak np. w latach 1949–1950 na budowach w stolicy pojawiło się już 6 tys. robotnic, a w następnym okresie ich liczba systematycznie rosła. W początkach 1952 r. pracowało w Warszawie już około 170 tys. kobiet, co stanowiło 38% zatrudnionych. Normą było, że kobiety na analogicznych stanowiskach zarabiały mniej niż mężczyźni; rzadko też pełniły funkcje kierownicze. Na przykład w 1952 r. w Zakładach im. Róży Luksemburg robotnice zarabiały przeciętnie 540 zł miesięcznie, podczas gdy ich koledzy 820 zł<sup>19</sup>.

Do tego należy dodać, że dość często robotnicy-mężczyźni odnosili się do swoich koleżanek w sposób arogancki, a niejednokrotnie wręcz wulgarny. Kobiety spełniały zresztą głównie różne role pomocnicze, często np. będąc „podręcznymi” na budowach. Rzadko jednak warunki ich pracy były tak „idyllicz-

<sup>17</sup> „Kultura” (Paryż) 1952, z.12, s. 117.

<sup>18</sup> B. Bierut, *Sześćoletni Plan Odbudowy Warszawy*, Warszawa 1950, s. 257.

<sup>19</sup> B. Brzostek, *op. cit.*, s. 68–69.

ne”, jak pokazano to w pierwszym polskim kolorowym filmie fabularnym „Przygoda na Mariensztacie” (premiera w styczniu 1954 r.) w reżyserii Leonarda Buczkowskiego, gdzie grany przez Tadeusza Schmidta murarz Janek Szarliński zakochał się w pięknej murarce Hance Ruczajównie, w której rolę wcieliła się Lidia Korsakówna. Romantycznej historii miłosnej towarzyszyła jedna z najpopularniejszych wtedy piosenek, w której retorycznie i na wyrost „pytano” odbudowany pomnik: „Królu Zygmuncie powiedz nam czyś, widział Warszawę tak piękną jak dziś?”.

Skoro już o filmach mowa, to warto tutaj przypomnieć, że po wojnie wśród ludzi złaknionych rozrywki i doznań artystycznych odgrywały one ogromną rolę. Trzeba przy tym pamiętać, że w 1938 r. było w Warszawie 70 kin, które odwiedziło ponad 15,3 mln widzów. Były to wskaźniki trudne do osiągnięcia w zniszczonej Warszawie i trudno się dziwić, że tę liczbę widzów przekroczone dopiero w 1956 r., kiedy to stołeczne kina odwiedziło ponad 15,9 mln osób<sup>20</sup>. W 1950 r. w Warszawie było 10 kin, z których nie wszystkie zresztą potrafilibyśmy dziś umiejscowić: „Atlantic”, „Palladium”, „Polonia”, „Stylowy”, „Syrena”, „Stolica”, „Tęcza”, „1 Maja”, „Ochota”, „W-Z”. Zdobycie biletu często było poważnym problemem. Szczególnie więc przy okazji wprowadzania na ekrany kin bardziej atrakcyjnych filmów, takich jak np. francuski „Fanfan Tulipan” ożywiały się stołeczne „koniki” – młodzi ludzie oferujący pod kinami bilety kilka razy droższe niż te sprzedawane w kasach, na których jednak już na parę godzin przed rozpoczęciem seansu widniał napis: „Wszystkie bilety wyprzedano!”

Repertuar kin był odbiciem ówczesnej sytuacji politycznej. Nie grano w kinach filmów produkcji amerykańskiej, a w praktyce w ogóle zachodniej. W początkach 1950 r. w kinach warszawskich prezentowano przede wszystkim „Czarci żleb” (4 kina), a także m.in.: „Arinkę”, „Wschodnie zaloty” i „Bitwę o Stalingrad”. W dniach 21–22 stycznia „w związku z rocznicą śmierci Lenina” w kinie „Palladium” zaprezentowano film pt. „Włodzimierz Ilicz Lenin”, a w kinie „Stylowy” pokazano obraz „Lenin w Październiku”<sup>21</sup>.

W 1953 r. w Warszawie było już 14 kin, choć przestało funkcjonować kino „Stylowy”. Do wyżej wymienionych doszły nowe „Lotnik”, „Moskwa”, „Praha”, „Śląsk” oraz „Olsztyn” we Włochach. Co ciekawe, w maju 1953 r. w połowie z tych sal prezentowano ten sam film: monumentalny, dwuczęściowy obraz „Żołnierz Zwycięstwa”, poświęcony gen. Karolowi Świerczewskiemu. Stanisław Grzelecki w obszernym artykule na łamach „Życia Warszawy” z 16 maja 1953 r. entuzjasmował się tym, że „reżyser Wanda Jakubowska i kierowany przez nią zespół śmiało podjęli wielki narodowy temat”. Również w pozostałych kinach grano wówczas głównie filmy „zaangażowane”, takie jak np. „Czarodziej Glin-

<sup>20</sup> *Rocznik statystyczny Warszawy...*, s. 208.

<sup>21</sup> „Życie Warszawy” z 21 stycznia 1950 r.

ka” czy „Sport na Ukrainie”. Zresztą, nawet jeśli pojawiały się wówczas filmy produkcji zachodniej, to musiały być „ideologicznie słuszne”, jak np. prezentowane wtedy w kinie „Olsztyn” czołowe dzieło neorealizmu włoskiego „Cud w Mediolanie” w reżyserii Vittorio De Sici. Jakby dla równowagi film ten był jednak „wspierany” dodatkiem „W kraju socjalizmu”<sup>22</sup>.

Dwa lata później w stolicy działały 2 kina letnie oraz 18 stałych. Przybyły „Mazowsze”, „Muranów”, „Radość” oraz sale w Pałacu Kultury i Nauki: „Przyjaźń” i „Młoda Gwardia”. Ta ostatnia zresztą w latach 1950–1955 cieszyła się szczególną popularnością. Przez cały analizowany okres w kinach warszawskich grano film pod takim tytułem, będący ekranizacją powieści Aleksandra Fadiejewa. Podobnie – jak donosiło „Życie Warszawy” z 20 stycznia 1950 r. – na scenie Państwowego Teatru „Polskiego” rozpoczęto „cykl przedstawień »Młodej Gwardii« [...] o bohaterstwie młodzieży Krasnodonu w walce z hitlerowskim najeźdźcą”. Można by nawet odnieść wrażenie, że w Warszawie panowała wówczas istna mania „młodogwardyjska”.

W omawianym okresie w stolicy było też kilkanaście teatrów. Precyzyjną liczbę trudno podać, gdyż były wśród nich teatry objazdowe, a poza tym do tej grupy zaliczano także np. cyrki. W repertuarze dominowała tematyka współczesna lub utwory odwołujące się do niedawnej przeszłości. Nie grano wtedy klasyki polskiej, jedynie w Teatrze „Kameralnym” wystawiano *Męża i żonę* Aleksandra Fredry, a w „Państwowej Operze” – *Straszny Dwór* Stanisława Moniuszki. Stosunkowo często wykorzystywano natomiast teatry do innych celów. 20 stycznia 1950 r. „Życie Warszawy” informowało, że następnego dnia w Teatrze „Polskim” odbędzie się „Uroczysta Akademia w 26-tą Rocznicę Śmierci II. Lenina”. W tym samym czasie w Teatrze „Rozmaitości” prezentowano spektakl pt. *Zagadnienie rosyjskie*. W zestawieniu z takim repertuarem może nieco dziwić wystawianie w „Teatrze Dzieci Warszawy” inscenizacji neutralnej ideologicznie książki Huga Loftinga *Dr Dolittle i jego zwierzęta*<sup>23</sup>.

Być może jednak teatry nie musiały być aż tak mocno zaangażowane ideologicznie, jak kina, choć „organizowanie widowni”, czyli grupowe wyjścia pracowników jednego zakładu – niekoniecznie zresztą warszawskiego – były i tutaj na porządku dziennym. Tylko dzięki temu spektakle wystawiano zwykle przy wypełnionej widowni. O ile w 1938 r. w 20 warszawskich teatrach było niespełna 2,2 mln widzów, o tyle w 17 w 1955 r. ponad 2,4 mln<sup>24</sup>. Fakt nieco mniejszego zaangażowania ideologicznego teatrów mógłby w jakimś przynajmniej stopniu potwierdzać repertuar scen warszawskich z 1953 r., w którym odnajdujemy m.in. *Zemstę* Aleksandra Fredry, *Wujaszka Wanię* Antoniego Czechowa, *Cyruli-*

<sup>22</sup> „Życie Warszawy” z 20 maja 1953 r.

<sup>23</sup> *Ibidem*.

<sup>24</sup> *Rocznik statystyczny Warszawy...*, s. 205.

ka Sewilskiego Gioacchino Rossiniego czy antysanacyjny w swej wymowie *Domek z kart* Emila Zegadłowicza. Prawdziwe, wręcz rewolucyjne, zmiany zaszły jednak w repertuarze teatrów warszawskich dopiero w 1955 r. Pojawiły się wtedy pozycje lżejsze, takie jak np. prezentowane przez Teatr „Grotteska” z Krakowa *Igraszki z diabłem* Jana Drdy. Niewątpliwie najważniejszym wydarzeniem teatralnym tego roku była jednak zorganizowana w stulecie śmierci Adama Mickiewicza, 26 listopada, uroczysta premiera *Dziadów* w Teatrze „Polskim”. Świadczyło to o postępującej liberalizacji, jako że przez ostatnich kilka lat dramatu tego – ze względu na zawarte w nim akcenty antyrosyjskie – nie wolno było w Polsce wystawiać. Spektakl, który spotkał się z przychylnymi recenzjami krytyki, wyreżyserował Aleksander Bardini.

Ważną rolę w życiu człowieka pełni też zwykle sport i rekreacja. W powojennej, biednej i zniszczonej Warszawie trudno byłoby jednak mówić o turystyce na szeroka skalę, choć równocześnie nie można zapominać, że nawet wtedy Warszawa była celem wielu wycieczek. Odbudowywana i rozbudowywana stolica, zwłaszcza dla przybyszów ze wsi i małych miasteczek, sama w sobie była znaczną atrakcją turystyczną. Co się zaś tyczy sportu, to jest oczywiste, że po okresie wojny i okupacji – kiedy to uprawianie jakiegokolwiek dyscypliny nawet w wymiarze rekreacyjno-towarzyskim, było surowo zabronione – odczuwano jego ogromny głód. Młodzi ludzie, jak zawsze, uganiaли się za piłką, a prawdziwi szczęściarze wyruszali na rowerowe lub kajakowe wycieczki.

Wielkim zainteresowaniem cieszyły się też wszystkie imprezy sportowe, zwłaszcza te – jak np. doroczny kolarski Wyścig Pokoju – z udziałem zawodników zagranicznych. Sport bowiem nie tylko w okresie stalinowskim i nie tylko w Polsce pełnił też ważną rolę społeczno-polityczną. Dla wielu Polaków żyjących w niesuwerennej Polsce zawody sportowe były często okazją do rekompensowania sobie kompleksów narodowych, szczególnie silnie dających znać o sobie wówczas, gdy przeciwnikami sportowców polskich byli zawodnicy radzieccy. Wtedy zwycięstwo na boisku, bieżni czy ringu nabierało wymiaru pozasportowego. Było to nad wyraz widoczne w czasie największej imprezy sportowej, jaka miała miejsce w Warszawie w okresie Planu Sześcioletniego. Mam tu naturalnie na myśli zorganizowane w Hali Gwardii w dniach od 18 do 25 maja 1953 r. X Bokserskie Mistrzostwa Europy. Były to pierwsze tej rangi zawody sportowe zorganizowane w powojennej Polsce.

Niebywały sukces odnieśli wówczas trenowani przez Feliksa Stamma pięścicarze polscy, którzy w klasyfikacji zespołowej zajęli pierwsze miejsce (21 punktów), podczas gdy druga w klasyfikacji, ekipa radziecka, zdobyła ich tylko 15. W finałach imprezy walczyło siedmiu Polaków, z których pięciu wygrało swoje walki. Ku radości publiczności warszawskiej, która spontanicznie zagrzewała rodaków do walki okrzykami: „Zabij Rucha!”<sup>25</sup>, zawodnicy radzieccy zdobyli

<sup>25</sup> J. Eisler, R. Kupiecki, *Na zakręcie historii – rok 1956*, Warszawa 1992, s. 7–8.

tylko dwa tytuły mistrzowskie. Tymczasem kompletnie nie licząc się z rzeczywistymi nastrojami, ale za to na pewno w zgodzie z wytycznymi partyjnymi, już na pierwszej stronie lokalnej gazety tłumaczono, że drugie miejsce sportowców z ZSRR było wielkim sukcesem, gdyż „bokserzy tego kraju w walkach eliminacyjnych trafiali na ogół na doskonałych przeciwników, tak z zachodu Europy, jak i krajów demokracji ludowej. Wygrywali z nimi i przegrywali, porażka bowiem jest często następstwem i ceną, jaką się płaci za pokonanie w poprzedzającej walce mistrzów pięści tej miary co Papp lub Currie. Ci bokserzy radzieccy, którzy zdobyli tytuły mistrzowskie – Włodzimierz Jengibarjan i Algierdas Szocikas – zademonstrowali kunszt najwyższej klasy i odsłonili wszystkie braki swych przeciwników, m. in. Antkiewicza i Węgrzyniaka”<sup>26</sup>.

Szczególnie w systemach niedemokratycznych sport miał do odegrania ogromną rolę propagandową. X Bokserskie Mistrzostwa Europy i autentyczne sukcesy pięściarzy polskich dla propagandystów były więc kolejną okazją do bezkrytycznego wychwalania osiągnięć młodego ustroju. 26 maja można więc było przeczytać w „Życiu Warszawy”, że „triumf naszego pięściarstwa, doskonały debiut w mistrzostwach bokserów ZSRR – jedno mają źródło. Jest nim opieka państwa nad sportem, naukowa metoda pracy przygotowawczej sportowców, jest nim masowość i upowszechnianie kultury fizycznej”. Innym razem pisano, że „sukcesy na mistrzostwach Europy dowodzą, że koncepcja rozwoju sportu w Polsce Ludowej, wytyczona przez Partię i Rząd, jest słuszna, musi być jednak [...] wykonywana tak czujnie i starannie jak plany produkcyjne naszego przemysłu”<sup>27</sup>. Trudno tu powstrzymać się przed refleksją, że gdyby bokserzy polscy rzeczywiście swoje plany realizowali „tak starannie”, jak realizowany był Plan Sześcioletni, to raczej nie odnieśliby tak spektakularnego sukcesu.

Ale sport i kultura, szerzej rozrywka, to była pewna – rzekłbym – odświętność życia codziennego. Prawdziwa codzienność była znacznie mniej kolorowa, a jednym z podstawowych problemów było zaopatrzenie w podstawowe artykuły, zwłaszcza w żywność. Było to tym trudniejsze, że po zwycięskiej dla komunistów „bitwie o handel” z 1947 r. w Warszawie systematycznie malała liczba „sklepów nieuspołecznionych”. I tak, jeśli w 1950 r. było ich jeszcze 4296, to w 1955 r. zaledwie 1170. W tym samym czasie liczba sklepów „uspołecznionych” wzrosła z 1993 do 5567. Jednocześnie łączna liczba „punktów sprzedaży” – jak nazywano wtedy oficjalnie sklepy – wzrosła w ciągu sześciu lat tylko o około 18%, podczas gdy liczba mieszkańców w tym samym czasie o około 50%<sup>28</sup>.

Jednak to nie mała liczba sklepów była wtedy największym problemem, lecz permanentne kłopoty z ich zaopatrzeniem. Brakowało wówczas praktycznie

<sup>26</sup> *Rękawice zdjęte*, „Życie Warszawy” z 27 maja 1953 r.

<sup>27</sup> *Ibidem*.

<sup>28</sup> *Rocznik statystyczny Warszawy...*, s. 97.

wszystkiego, ale najbardziej dramatyczna sytuacja była „na odcinku mięsny”. Za pomocą posunięć administracyjnych władze nie były w stanie poprawić zaopatrzenia. Normą były ustawiające się przed sklepami kolejki na długo zanim dostarczono do nich towar. Robotnicy protestowali przeciwko złemu zaopatrzeniu i domagali się uregulowania tej sprawy. W tej sytuacji „w związku z występującymi na rynku przejściowymi trudnościami w zaopatrywaniu ludności w mięso” 21 sierpnia 1951 r. Sekretariat Biura Politycznego zatwierdził „wniosek MHW o wydaniu we wrześniu pracownikom ważniejszych zakładów pracy bonów uprawniających do nabycia produktów mięsnych w wyznaczonych do tego celu sklepach”<sup>29</sup>.

Decyzja ta dotyczyła pracowników 245 największych zakładów, w tym takich instytucji, jak Polskie Koleje Państwowe, ale także osób zatrudnionych w „niektórych mniejszych” zakładach. Ostatecznie w tej fazie akcją reglamentacji mięsa objęto 135 tys. osób. Były dwie kategorie bonów: tzw. rodzinne oraz dla osób samotnych. Na te pierwsze można było miesięcznie nabyć 1/2 kg mięsa, 1/4 kg tłuszczu i 1/4 kg wędlin, natomiast na kartki dla samotnych tylko 1/2 kg mięsa lub tyleż wędlin, które sprzedawano w wydzielonych sklepach. W październiku 1951 r. sprzedaż objęto wszystkie sklepy warszawskie, a wolna sprzedaż mięsa była dopuszczona tylko w czwartki. Jednak już w połowie miesiąca i z tego zrezygnowano, likwidując całkowicie wolną sprzedaż mięsa. Równocześnie reglamentacją objęto wszystkich pracujących, jako że poprzedni system wywoływał wiele niesnasek i był przyczyną licznych protestów. Próbując opanować te niedobre z punktu widzenia władzy nastroje, w następnym roku rozszerzono asortyment towarów sprzedawanych na kartki m.in. o cukier i słodycze. Dopiero 1 stycznia 1953 r. w wyniku dokonania znaczącej podwyżki cen na wiele artykułów władze zrezygnowały z reglamentacji sprzedaży. Trzeba przy tym stale pamiętać, że na systematyczne pogarszanie się nastrojów społecznych w owym czasie miał też wpływ fakt utrzymywania sieci rozmaitych sklepów dostępnych „tylko dla wybranych”. Ze względu na kolor firanek w niektórych z nich nazywano je potocznie „sklepami za żółtymi firankami”.

Wielkim problemem nie tylko przecież warszawiaków były w tamtych czasach niskie zarobki. W 1955 r. przeciętna miesięczna płaca netto wynosiła w Polsce 1083 zł i w ciągu ostatnich dwóch lat Planu Sześcioletniego wzrosła o prawie 170 zł, przy czym gwarantowana płaca minimalna pozostała na niezmiennym poziomie i wynosiła miesięcznie 360 zł<sup>30</sup>. Dla porównania można przypomnieć, że w 1953 r. kilogram chleba żytniego kosztował 3 zł., kilogram kiełbasy 20 zł, ale kilogram „luksusowych” cytryn aż 40 zł. Drogie były też artykuły trwałego

<sup>29</sup> *Centrum władzy. Protokoły posiedzeń kierownictwa PZPR. Wybór z lat 1949–1970*, oprac. A. Dudek, A. Koczański, K. Persak, Warszawa 2000, s. 96.

<sup>30</sup> D. Jarosz, *Polacy a stalinizm 1948–1956*, Warszawa 2000, s. 88.

użytku. Koszula męska kosztowała 50 do 250 zł, a „tania marynarka samodziółowa” 460 zł. Ludziom żyło się więc bardzo ciężko, a przysłowiowe związanie końca z końcem było wyczynem nie lada. Nie byli tego w stanie pokryć propagandowym optymizmem środki masowego przekazu. O rzeczywistych nastrojach panujących przynajmniej wśród części robotników warszawskich sporo mówią wypowiedzi odnotowywane przez partyjnych aktywistów. „Kolor flagi, godło i hymn nie mają żadnego znaczenia, ważniejsza jest sprawa 8-godzinnego dnia pracy, mięsa i kielbasy” – mówił kolejarz, członek PZPR. Z głosem tym współgrał inny: „Co tam mnie obchodzą wybory, lepiej niech dadzą więcej słoniny i mięsa”<sup>31</sup>. Wydaje się, że nie należy tych wypowiedzi brać dosłownie. Były one przede wszystkim wyrazem rozpaczy i uzasadnionego gniewu konkretnych osób.

Innym równie poważnym problemem był wówczas katastrofalny brak mieszkań, będący następstwem wojennych zniszczeń. Choć władze przywiązywały ogromną wagę do kwestii budownictwa, to jednak trudno nie zauważyć, że za najważniejsze uznawały wznoszone w centrum miasta prestiżowe budowle, przeznaczone dla różnych instytucji centralnych. Tego typu inwestycjami zajmowało się nawet na swoich posiedzeniach Biuro Polityczne. Jest to bardziej zrozumiałe, gdy pamięta się o architektonicznych zainteresowaniach Bieruta. I tak np. 22 grudnia 1950 r. całe posiedzenie Biura było poświęcone zatwierdzaniu planów realizacji Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej (MDM), zagospodarowaniu placu Bankowego i lokalizacji. Teatru Wojska Polskiego. Warszawiacy nie wiedzieli nic o tym, z jakim zaangażowaniem kierownictwo partyjno-państwowe zajmowało się urządzaniem ich miasta. Dziś trudno wręcz uwierzyć, że najwyższe gremium polityczne w kraju zajmowało się rozpatrywaniem projektów kandelabrow, jakie miały stanąć na MDM<sup>32</sup>.

Z politycznego punktu widzenia na pewno jedną z najważniejszych inwestycji był wzniesiony „ze społecznych środków” i oddany do użytku w 1952 r. gmach Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Swój wielki dzień „Biały Dom” – jak go potocznie przezywali warszawiacy – „przeżył” 9 marca 1953 r. o godzinie 16.00, kiedy to przed specjalnie na tę okazję udekorowanym frontonem Alejami Jeruzolimskimi przemaszerował ogromny manifestacyjny pochód żałobny, który nie podążał jednak za trumną. Były to bowiem uroczystości żałobne po śmierci Józefa Stalina i w tym samym czasie właściwy pogrzeb dyktatora odbywał się w Moskwie. Tymczasem przed „Domem Partii” w Warszawie – wedle doniesień prasowych – przemaszerowało tego dnia ponad 350 tys. osób. Była to prawdopodobnie największa w dziejach Polski uroczystość żałobna poświęcona człowiekowi, który nie był Polakiem, a zarazem największa uroczystość żałobna, w której zebrani ludzie nie podążali za trumną.

<sup>31</sup> Cyt. za: B. Brzostek, *op. cit.*, s. 41–42, 44–46.

<sup>32</sup> *Centrum władzy...*, s. 76–77, 108–109.

W pierwszych powojennych latach toczył się swoisty spór o kształt i charakter odbudowywanej z wojennych zniszczeń Warszawy. Biuro Odbudowy Stolicy oraz Ministerstwo Odbudowy pragnęły widzieć w niej miasto przestronne, pełne zieleni, szerokich arterii komunikacyjnych, nastawione na życie naukowe, kulturalne, oświatowe, raczej nie będące centrum przemysłowym i – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – wolne od ekologicznych zagrożeń. Natomiast kierownictwo PZPR przeciwnie (z powodów czysto ideologiczno-politycznych) chciało, by Warszawa stała się prężnym centrum przemysłowym i ośrodkiem wpływów silnej „klasy robotniczej”. Jak to często wówczas bywało, spór osobiście rozstrzygnął przewodniczący PZPR i zarazem prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bolesław Bierut, który w lipcu 1949 r. zapowiedział otwarcie nowego etapu w życiu Warszawy. Do 1955 r. miała ona przekroczyć milion mieszkańców i stać się „poważnym ośrodkiem produkcji, miastem robotniczym”. Bierut zapowiadał, że w tym samym czasie liczba pracowników przemysłu i budownictwa wzrośnie ze 130 tys. do 200 tys. osób. Jednocześnie oświadczył, że do 1955 r. w stolicy zostanie zbudowanych od podstaw 19 dużych zakładów przemysłowych<sup>33</sup>.

Cytowany już Błażej Brzostek słusznie zauważył, że proces centralizacji zarządzania Warszawą był pochodną podobnych procesów w całym kraju. „Ograniczono uprawnienia Zarządu i Prezydenta Miasta (by następnie ciała te zlikwidować). Malą samodzielną warszawską organizację PZPR. Decyzje o losie stolicy zapadać miały na najwyższych szczeblach, a kolejne kroki odbudowy planowano na spotkaniach u Bolesława Bieruta i posiedzeniach KC PZPR. W latach następnych nastąpiły korekty Planu w kierunku zwiększenia inwestycji. Postanowiono m.in. ulokować w Warszawie wielką hutę, pierwotnie planowaną w sporej odległości od miasta”<sup>34</sup>.

Z pewnością jednak największą budowlą Planu Sześcioletniego w Warszawie (ze względu na skalę całego przedsięwzięcia, jego koszty i rozmach inwestycyjny) był wznoszony w latach 1952–1955 Pałac Kultury i Nauki – „dar narodów Związku Radzieckiego”<sup>35</sup>. Początkowo, jeszcze w 1945 r., władze radzieckie „w imię przyjaźni” deklarowały wolę podjęcia się odbudowy jednej ze zniszczonych dzielnic Warszawy, względnie zbudowania pierwszej linii metra łączącej Mokotów z Żoliborzem. Wtedy z planów tych nic nie wyszło, ale 3 lipca 1951 r. przebywający z wizytą w Polsce Władimir Mołotow w imieniu rządu radziec-

<sup>33</sup> B. Bierut, *op. cit.*, s. 135.

<sup>34</sup> B. Brzostek, *op. cit.*, s. 10.

<sup>35</sup> Na temat okoliczności towarzyszących budowie szerzej zob. K. Rokicki, *Kłopotliwy dar: Pałac Kultury i Nauki*, Warszawa 2000 (maszynopis pracy magisterskiej przygotowanej w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego pod kierunkiem prof. Marcina Kuli). Za udostępnienie tekstu bardzo dziękuję Konradowi Rokickiemu. Por. też R. Kroner, *Pałac Kultury. Budowa czy symbol*, „Zdanie” 1997, nr 1–2; G. Stankiewicz, *Jak powstał Pałac Kultury i Nauki*, „Res Publica” 1990, nr 3.

kiego zaproponował, by w Warszawie zbudować „taki wieżowiec jak u nas”<sup>36</sup>. Miała to być pierwsza tego typu budowla wzniesiona poza terytorium ZSRR i zarazem najwyższy budynek w Europie na wschód od Bugu, przy czym „radzieccy budowniczy” zamierzali wykorzystać doświadczenia zdobyte wcześniej przy wznoszeniu w Moskwie ośmiu podobnych wysokościowców.

Zważywszy na stosunki łączące wówczas oba państwa była to w istocie tzw. propozycja nie do odrzucenia. Wszystko, co Polacy mogli wtedy zrobić, to starać się w sposób możliwie jak najbardziej „bezbolesny” wkomponować ów „dar” w istniejący czy może (ze względu na liczne ruiny) raczej ciągle jeszcze nie istniejący układ urbanistyczny miasta. Naczelnym Architektem Warszawy Józef Sigalin wspominał potem, że wraz ze Zbigniewem Skibniewskim oraz innymi architektami mieli opracować propozycje polskie do generalnego projektu Pałacu, którego autorem był „nadworny architekt Stalina” akademik Lew Rudniew. Zanim w kwietniu 1952 r. oficjalnie podpisano „Umowę między Rządem RP a Rządem ZSRR w sprawie budowy gmachu wysokościowego – Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie” podjęto już zresztą wiele kluczowych decyzji, dotyczących przyszłej budowli. Przede wszystkim zdecydowano, gdzie Pałac stanie, jaki przyjmie kształt i jak będzie wysoki. Tę ostatnią kwestię rozstrzygnięto w dość oryginalny sposób.

Otóż w pierwszej połowie października 1951 r. przebywała z wizytą w Polsce grupa architektów radzieckich, która tutaj na miejscu miała zapoznać się z typowo polskimi akcentami architektonicznymi, które miano potem wykorzystać przy projektowaniu i budowie Pałacu. W stolicy architekci radzieccy z kolegami polskimi zajęli się m.in. właśnie ustaleniem wysokości przyszłego wieżowca. Odbyło się to w spektakularny sposób. Nad osiǳ przyszłego Pałacu Kultury i Nauki latał „kukuźnik” z uwieszonym do ogona balonem, którego położenie miało wyznaczać wierzchołek przyszłej budowli. Z drugiego brzegu Wisły to niecodzienne widowisko obserwowali architekci polscy i radzieccy, którzy mieli zdecydować o wysokości projektowanego budynku. Sowietci opowiadali się za wysokością 100–120 metrów, podczas gdy ich polscy koledzy ulegli chyba gigantomanii i uparli się przy wysokości 160 metrów korpusu Pałacu, zwieńczonego 70 metrową iglicą. Zdecydowano też, że wieże boczne będą miały po 60 metrów wysokości każda<sup>37</sup>.

Inwestycją integralnie związaną z budową Pałacu Kultury i Nauki było Osiedle „Przyjaźń”, wzniesione w 1952 r. na warszawskich Jelonkach dla budowniczych radzieckich. Tam także ulokowano bazę, do której kolejǳ zwożono materiały budowlane niezbędne do wzniesienia Pałacu, które następnie były transportowane samochodami do centrum Warszawy. Po zakończeniu budowy PKiN

<sup>36</sup> J. Sigalin, *Warszawa 1944–1980. Z archiwum architekta*, t. 1, Warszawa 1986, s. 422.

<sup>37</sup> *Ibidem*, s. 426–429.

Osiedle „Przyjaźń” zostało przekazane Uniwersytetowi Warszawskiemu z przeznaczeniem na akademiki dla studentów.

Formalnie budowę Pałacu rozpoczęto 21 lipca 1952 r., gdy premier Józef Cyrankiewicz i inni członkowie rządu położyli pierwsze łopaty cementu pod fundamenty. W rzeczywistości prace na budowie trwały już wówczas od kilku miesięcy. Przede wszystkim wcześniej wywieziono tysiące ton gruzu, wykwaterowano ludzi z domów przeznaczonych do rozbiórki oraz wykonano wykopy pod fundamenty o wymiarach 80 × 80 metrów i sięgające 9 metrów głębokości. Warto przy tym przypomnieć, że Konrad Rokicki trafnie zwrócił uwagę na to, iż oficjalne rozpoczęcie prac budowlanych miało miejsce na pięć miesięcy przedtem nim Instytut Geologiczny wydał orzeczenie, w którym stwierdzono, że „budowa geologiczna terenu [...] nie stwarza zasadniczych trudności pod względem geologiczno-technicznym dla zaprojektowania, wykonania i konserwacji Pałacu”<sup>38</sup>. Nie sposób sobie zresztą wyobrazić, że mogłaby być ona inna, choć jednocześnie nie wolno zapominać, że negatywna ekspertyza geologiczna wstrzymała w Moskwie podjętą w 1938 r. prestiżową budowę Pałacu Rad wznoszonego na miejscu zburzonego na polecenie Stalina Soboru Chrystusa Zbawiciela...

Przez cały okres wznoszenia PKiN budowa przyciągała uwagę warszawiaków i osób przyjezdnych, czemu dodatkowo sprzyjały liczne artykuły w prasie, informujące na bieżąco o postępie robót. Aby ułatwić wycieczkom podziwianie budowy Pałacu od strony Alei Jeruzolimskich wybudowano specjalny pomost do obserwacji terenu. Trudno się zresztą dziwić temu zainteresowaniu, skoro budowany Pałac miał być cztery razy wyższy od zbudowanego w 1931 r. najwyższego gmachu przedwojennej Warszawy – siedziby Towarzystwa Ubezpieczeń Prudential (dzisiaj Hotel „Warszawa”). Pałac Kultury i Nauki był z wielu powodów bez wątpienia budowlą priorytetową, której znaczenie wzrosło jeszcze dodatkowo w marcu 1953 r., gdy po śmierci Stalina władze postanowiły, że budowany Pałac oraz ogromny plac przed nim będą nosić imię przywódcy radzieckiego. Na placu miał też zresztą stanąć potężny pomnik Stalina.

Przy budowie Pałacu ze specjalistami radzieckimi współpracowali robotnicy i inżynierowie polscy. Co więcej, w myśl „Umowy” z kwietnia 1952 r. strona polska miała dostarczyć możliwie jak najwięcej materiałów budowlanych. Tylko te, których nie można było pozyskać na miejscu, były sprowadzane ze Związku Radzieckiego. Jakby na marginesie okazało się, że w owym czasie poziom sztuki i techniki budowlanej w ZSRR był znacznie wyższy niż w Polsce. Natomiast nie można by tego samego powiedzieć o kulturze pracy przynajmniej części robotników polskich, zwłaszcza tych, którzy rozpoczęli pracę jeszcze przed wojną i nieobca im była ówczesna solidność i rzetelność. Pod tym względem przewyższali oni zarówno robotników radzieckich, jak i swoich młodszych kolegów.

<sup>38</sup> K. Rokicki, *op. cit.*, s. 9,18–21.

Niezależnie od tych wszystkich różnic wiele półproduktów przygotowywanych w Polsce nie spełniało jednak norm jakościowych i oczekiwań budowniczych radzieckich. Na marginesie warto jeszcze dodać, że wbrew obiegowym opiniom – jak ustalił Konrad Rokicki – płace Polaków wznoszących PKiN – były niższe niż na innych ówczesnych budowach<sup>39</sup>. Nawiasem mówiąc, znaczne zróżnicowanie płac na poszczególnych budowach uznawano powszechnie za jedną z głównych przyczyn fluktuacji kadr, która była w owym czasie bardzo poważnym problemem.

Dokładnie w trzy lata po tym jak Cyrankiewicz położył symboliczne pierwsze łopaty cementu pod fundamenty Pałacu Kultury i Nauki, 21 lipca 1955 r. o godzinie 16.00, nastąpiło uroczyste otwarcie obiektu. W Sali Kongresowej z udziałem 3 tys. osób odbyła się uroczysta akademія z okazji jedenastej rocznicy powstania Polski Ludowej, a następnego dnia swoją premierę miał plac przed Pałacem. Odbyła się tam wielka parada sportowców i młodzieży oraz defilada wojskowa, którą podziwiali tysiące warszawiaków. W PKiN swoje siedziby znalazły m.in. Polska Akademia Nauk, Uniwersytet Warszawski, kina: „Młoda Gwardia”, „Przyjaźń” i „Wiedza”, teatry: „Dramatyczny”, „Klasyczny” i „Lalka” oraz Pałac Młodzieży z pływalnią. Warszawiakom dość trudno jest uwierzyć i pogodzić się z tym, że w oczach wielu cudzoziemców ich miasto symbolizuje właśnie Pałac Kultury i Nauki. Co więcej, w niejednej zagranicznej encyklopedii ilustruje on hasło: „Warszawa”.

22 lipca 1955 r. Warszawa wzbogaciła się o jeszcze jedną prestiżową budowlę. Głównie ze środków Społecznego Funduszu Odbudowy Stolicy, ale także przy wsparciu skarbu państwa i sporych nakładach pracy społecznej wzniesiono na prawym brzegu Wisły posiadający 80 tys. miejsc siedzących Stadion Dziesięciolecia. W odróżnieniu od wielu tego typu budowli na świecie, wznoszonych przy użyciu wyszukanych konstrukcji nośnych, Stadion Dziesięciolecia został umiejscowiony na dawnym wysypisku gruzów. Jego wały, na których umieszczono trybuny, wznoszą się na tonach gruzu z kamienic warszawskich.

Zarówno PKiN, jak i Stadion Dziesięciolecia wkrótce po oddaniu ich do użytku były atrakcją i miejscem spotkań uczestników odbywającego się w Warszawie w dniach od 31 lipca do 14 sierpnia 1955 r. V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów, przebiegającego pod hasłem „Pokój i Przyjaźń”. Na tę imprezę, zorganizowaną w „komunistycznym stylu” przybyło 30 tys. gości zagranicznych oraz 150 tys. uczestników Festiwalu z całej Polski. Dla Warszawy, która była szara, brzydka, zniszczona, biedna, a przede wszystkim stłamszona przez stalinizm, było to prawdziwe święto młodzieży, nawet jeśli młodzież ta zawczasu została starannie wyselekcjonowana pod kątem swoiście wówczas pojmowanej „politycz-

<sup>39</sup> *Ibidem*, s. 35–46. Ciekawe, że posiłkując się „Biuletynem Informacyjnym”, nr 71 z 2 października 1952 r. Błażej Brzostek (*op. cit.*, s. 43–44) napisał, że praca przy budowie PKiN uchodziła właśnie „za wyjątkowo popłatną”.

nej poprawności”. Festiwal pierwotnie pomyślany jako impreza typowo propagandowa, dla wielu Polaków żyjących w państwie praktycznie izolowanym od świata zewnętrznego był okazją do pierwszego w życiu lub przynajmniej pierwszego od wielu lat spotkania z cudzoziemcami. Choć były to na ogół spotkania sformalizowane i często dalekie od spontaniczności i autentyczności, to jednak trudno przecenić rolę Festiwalu w procesie budzenia się społeczeństwa polskiego po stalinowskiej nocy<sup>40</sup>. Wydarzeniem dla wielu osób nie mniej ważnym była równoległa w czasie Ogólnopolska Wystawa Młodej Plastyki, zorganizowana w warszawskim Arsenale. Twórcy, prezentujący na niej swoje dzieła, po raz pierwszy w sposób tak otwarty i powszechny zrywali z kanonami sztuki socrealistycznej.

W pracy poświęconej życiu codziennemu Warszawy w okresie stalinowskim nie można pominąć kwestii represji i oporu społecznego. Jest to sprawa nader skomplikowana i wymagająca odrębnych badań, tym bardziej że rozpatrywanie tego w oderwaniu od ogólnej sytuacji w kraju nie ma większego sensu. Wszelako na pewno warto w ślad za Łukaszem Kamińskim przypomnieć, że ze względu na liczbę strajków zorganizowanych tu na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych województwo warszawskie należało do najbardziej niepokornych, choć w materiałach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego odnotowano tutaj zaledwie 3 strajki w 1949 r., 15 w 1950 r., 32 w 1951 r. i 18 w 1952 r.<sup>41</sup>

W latach 1950–1955, podobnie jak cały kraj, w znacznym stopniu zmieniła się także Warszawa. Choć nie przybrała takiego kształtu architektonicznego, jaki planowano na rycinach zamieszczonych w albumie *Sześćioletni Plan Odbudowy Warszawy*, to przecież zmieniła się jednak bardzo. W tym czasie nie tylko zbudowano monumentalny Pałac Kultury i Nauki, zrekonstruowano Stare Miasto jednak (wbrew pierwotnym zapowiedziom) bez Zamku Królewskiego, zbudowano prestiżową Marszałkowską Dzielnicę Mieszkaniową, Dom Partii wraz z kompleksem budynków rządowych w rejonie Placu Trzech Krzyży oraz ulic Wspólnej, Kruczej i Hożej oraz wiele osiedli mieszkaniowych (np. Muranów), ale też w znacznym stopniu uporządkowano Warszawę, nadając jej charakter wielkomiejski. Jednocześnie powoli kończyła się najczarniejsza epoka w powojennych dziejach Polski: stalinizm. O ile w początkach Planu Sześćioletniego Polska i jej stolica były w środku stalinowskiej nocy, o tyle koniec tego okresu przypadł na czas „odwilży”. Peter Raina przed laty słusznie zauważył, że „rok 1955 był od czasu zakończenia w Polsce wojny rokiem najlepszym, najbardziej liberalnym i dającym największe nadzieje na przyszłość”<sup>42</sup>.

<sup>40</sup> Na ten temat szerzej zob. P. Osęka, *Święto inne niż wszystkie. Propaganda i rzeczywistość V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie*, w: *Komunizm. Ideologia, system, ludzie*, pod red. T. Szaroty, Warszawa 2001, s. 352–365.

<sup>41</sup> Ł. Kamiński, *Strajki robotnicze w Polsce w latach 1949–1952. Próba bilansu*, w: *Studia i materiały z dziejów opozycji i oporu społecznego*, t. IV, Wrocław 2000, s. 79.

<sup>42</sup> P. Raina, *Political Opposition in Poland 1954–1977*, London 1978, s. 36.

Badania nad życiem codziennym w okresie stalinowskim są praktycznie dopiero inicjowane, ale mimo to istnieją już cenne pozycje cząstkowe związane z tą problematyką. Ważne jest przy tym, że zainteresowanie tą problematyką wykazują zwłaszcza – wolni od jakichkolwiek historycznych obciążeń – reprezentanci najmłodszego pokolenia badaczy. Obok wspomnianych już prac Błażeja Brzostka i Konrada Rokickiego trzeba tu przede wszystkim wskazać na interesujące monografie autorstwa Krzysztofa Kosińskiego<sup>43</sup> i Pawła Sowińskiego<sup>44</sup>. Sporo tematów, jak dotąd, nie było podejmowanych przez badaczy. Niewiele potrafimy na przykład powiedzieć na temat życia religijnego mieszkańców Warszawy, chociaż i na tym polu można odnotować pewien postęp<sup>45</sup>. Prawdopodobnie niedługo doczekamy się całościowego opracowania poświęconego omawianej problematyce, do którego niniejszy szkic – niech mi na koniec wolno będzie wyrazić taką nadzieję – mógłby być pierwszym krokiem.

---

<sup>43</sup> K. Kosiński, *O nową mentalność. Życie codzienne w szkołach 1945–1956*, Warszawa 2000.

<sup>44</sup> P. Sowiński, *Komunistyczne święto. Obchody 1 maja w latach 1948–1954*, Warszawa 2000.

<sup>45</sup> Problematykę tę w pewnym zakresie podejmował w swoich pracach m.in. Dariusz Jarosz.